

Meta-momenty byli!

Misja Poznań, reż. Marek Cyrys, Teatr Animacji w Poznaniu.

 Juliusz Tyska

aA aA aA



fot. Dawid Majewski

Tytuł *Misja Poznań* odkrywa dwa wymiary plenerowego przedstawienia w Teatrze Animacji: teatralny i metateatralny (uprzedzam: z metateatralnością w najlepszym wydaniu jeszcze się w jego opisie spotkamy). Wracając do owej podwójności, chodzi o to, by: 1) widzom, zwłaszcza tym młodszym (ale nie tylko), umożliwić kilkudziesięciominutową, atrakcyjną wycieczkę po Grodzie Przemysława, Lecha i Warty, a narracyjną kanwą tej wycieczki uczynić nie turystyczne bla-bla (dotkliwe zresztą wyśmiane w samej końcówce spektaklu), lecz 2) atrakcyjno-abstrakcyjne (w tym drugim epitecie chodzi o warstwę językową, nie topograficzną) przygody dwójga prywatnych detektywów o swojsko-poznańskich nazwiskach: Dory Dynks (Sylvia Koronczewska-Cyrys) i Waldemara Wichajstra (Marek Cyrys – w jednej osobie aktor i reżyser *Misji Poznań*).

Teraz będzie przydługi metakomentarz językowy: hiperpoprawnie wypadłoby napisać „Wichajstera”, lecz nikt w Poznaniu tak nie mówi, a decyduje o tym zapewne „święta” ekonomia wymowy, do której tak wielką wagę przywiązywała moja niezapomniana wykładowczyni językoznawstwa, badaczka między innymi gwary poznańskiej, prof. Monika Gruchmanowa.

Kontynuuję metakomentarz lingwistyczny: otóż prawidłowa pisownia słowa „wihajster” jest właśnie taka – przez samo „h”, jako że słowo to pochodzi od niemieckiego pytania *wie heisst er?* („jak to się nazywa?”). Niemniej, skoro twórcy poznańskiego spektaklu zdecydowali się pisać nazwisko detektywa Waldemara przez „ch”, wypada potraktować tę decyzję jako przejaw *licentia poetica* i ulec (acz niechętnie) ich woli.

Kontynuując jeszcze przez chwilę wtრęt „meta”, pozwolę sobie zacytować anonimowego autora (anonimową autorkę?) krótkiej informacji na temat słowa „wihajster” opublikowanej na stronie antrjy.pl. Polemizuje on/a z tezą, że słowo to jest prostym zapożyczeniem z niemieckiego, a tezę tę dowodnie obalili „Sebastian Żurowski z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, pisząc szkic leksykologiczny o wihajstrze. Jego zdaniem nie ma mowy o zapożyczeniu słowa, bo słowo takie w języku niemieckim nie istnieje. Zapożyczono jedynie germańskie brzmienie.

Trudno się z tym argumentem nie zgodzić, czytając artykuł z „Der Spiegel” (14 października 2010 roku). Dziennikarz uznał wihajster za prawdopodobnie najśmieszniejsze słówko zapożyczone przez polszczyznę z języka niemieckiego [tu mamy lekką logiczną niekonsekwencję, ale nic to – taki mój belferski wtრęt – J. T.], dodając, iż polski wihajster to niemieckie *dingsbums*. Widać wyraźnie, że sprawy się komplikują, bo pojawił się *dings*, czyli mniej więcej to samo co wihajster, choć *dings* pewnie będzie mniejszy”.

No i mamy jak na dłoni także źródło słów nazwiska detektywki Dory. A dla osób już bardzo nieobeznanych z gwarą śląską czy poznańską dodam, że dynks i wihajster to coś zbliżonego do ustroju, choć ustrojstwo to byt chyba ciut bardziej skomplikowany od swych dwóch niemieckich partnerów z polszczyzny.

Nie bniemy jednak dalej w rozważania nazewnico-ortograficzne – wróćmy do spektaklu: otóż, jak na dłoni widać, że już w doborze nazwisk dwójga głównych bohaterów iskrzy językowe rozigranie, tak charakterystyczne dla twórczości Maliny Prześluga. A to dopiero wstęp do rozmaitych lingwistyczno-fizyczno-filozoficznych gier i zabaw (przypominanie sobie przez dwoje detektywów zapomnianego pechowo, chwilowo słówka „dedukcja” i wypowiadanie przy tej okazji kilkunastu innych „-cji”, duch Lecha, któremu „strzyka w ektoplazmie” czy podziękowanie „thank you very much” w języku „angielskim” wypowiedziane do prezydenta Wilsona, patrona poznańskiego parku). Jedna z tych zabaw kryje w sobie nawet filozofujące, ontologicznie „metadno”: oto ryba z Jeziora Malta wręcza Dorze Dynks tytkę (papierową torebkę) z „tajnymi pytaniami”, z których zapamiętałem dwa: „Czy Bóg istnieje?” oraz „Jajko czy kura?”.

Misja dwójga detektywów polega na odnalezieniu i doprowadzeniu na „stanowisko pracy”, czyli na ratuszową wieżę, poznańskich koziołków, beczelnie przez kogoś porwanych i uprowadzonych w nieznanym kierunku. Zbrodnię tę zgłasza Bamberka (Mariola Ryl-Krystianowska) – słynna rzeźba ze Starego Rynku, której specjalności (jak sama ochoczo deklaruje) to między innymi płoszenie gołębi oraz *selfie* z turystami. Porwanie koziołków to zbrodnia wręcz niesłychana, bo grozi najtragiczniejszymi konsekwencjami, na czele z niestawieniem koziołków na ich wieży w samo południe, by performować rytualne trykanie się, co byłoby turystyczną katastrofą i spowodowałoby totalną porutę (czyli wstyd, ale taki głębszy, występujący w parze z publicznym poniżeniem).

Poszukiwania, prowadzone ślamazarnie i głupkowato przez parę niewydarzonych detektywów, obejmują rozległy teren miasta: nowe ZOO z nową (jedenastoletnią już!) sloniarnią, Jezioro Malta i kolejkę Maltankę, Bramę Poznania ICHOT (nowoczesne muzeum prezentujące historię najstarszej części miasta – Ostrowia Tumskiego), Most Biskupa Jordana położony tuż koło katedry, ulicę Półwiejską i stojący u jej wlotu pomnik Starego Marycha (bohatera słynnych blubrów, czyli pierdołów alias bzdur, które są głównym składnikiem treści jego monologów gadanych w poznańskiej gwarze, będących przez długie lata rozrywkową atrakcją lokalnej rozgłośni radiowej), nowy dworzec kolejowy, zwany złośliwie „chlebakiem” (osobiście wolę inne przezwisko: „rolada”), Park Wilsona z palmiarnią i na koniec Stary Rynek, gdzie odnalezione w palmiarni koziołki czynią o właściwej godzinie swą powinność.

Spektakl, jako się rzekło, rozgrywa się w plenerze (konkretnie na Dziedzińcu Różanym poznańskiego Zamku), na drewnianej scenie, z pomysłowymi, łatwo przenośnymi dekoracjami-makietami, wśród których wyróżnia się zielona bimba (tramwaj). Gdy bohaterowie doń wsiadają, karnie zakładają obowiązkowe maseczki. Za to plenerowi spektatorzy nie muszą tego robić i stwierdzam, że przyjąłem ten fakt z dużą ulgą, pomimo niewesołych myśli, iż dystans dystansem (krzesła były rozstawione w odpowiedniej odległości od siebie), świeże powietrze świeżym powietrzem, ale... Przeważała jednak radość, że oto półroczna przerwa w kontakcie z teatralną normalnością została choć na chwilę zawieszona (bo przecież nie zniwelowana lub nieodwołalnie odwołana).

Dużo jest w tym spektaklu, przeznaczonym do grania w różnych poznańskich plenerach, scen rozśmieszających, a to lingwistycznie (te już pokrótce omówiłem, ale jeszcze do nich wróce), a to sytuacyjnie – okazuje się na przykład, że sprytnie małpy z nowego ZOO dwukrotnie cichcem pożerają owoce przeznaczone dla rozgadanych słoni, które nieopatrznie pograżają się w przydługiej konwersacji z parą detektywów. Śmieszny też pomysłowo skarykaturowany tekturowy pomnik prezydenta Wilsona, majestatycznie poruszający dolną szczęką. Poza tym nieustannie rozweselają widzów pytlujące niezmordowanie „po naszymu” różnorakie postacie męskie, w które wciela się z wielką energią Krzysztof Dutkiewicz. Odzywki Starego Marycha w jego wykonaniu przypominają (wywołując lezkę w oku) radiowego odtwórcę tej postaci, Mariana Pogasza. Poznanianki i poznaniaków śmieszyć też powinien, i to bardzo, „zakupowy amok”, w jaki wpada Dora Dynks pod wpływem różnorodności oferty rozpostartej przed placówkami handlu detalicznego na ulicy Półwiejskiej. W każdym razie amok ten powinien śmieszyć – nie tylko dlatego, że jest dobre, ekspresyjnie nagrany, lecz także dlatego, że ulica Półwiejska – czolowy handlowy deptak Grodu Przemysława, Lecha i Warty – raz, jak na mój gust, swym nieskrywanym bamberstwem (słowo to w gwarze poznańskiej oznacza mniej więcej to samo, co „buractwo”).

Śmieszne jest spryskanie „zakochanego na zabój” w Dorze Waldemara Wichajstra (owo zakochanie to nieodgadniony wpływ „miłosnych klódek” z Mostu Jordana) wodą z Warty, która oczywiście natychmiast go otrzeźwia (dziwnym, szczęśliwym trafem nie pozabawiając go wzroku lub nosa). Mamy tu także dialog Dory z rybą, która z Jeziora Malta przeniosła się sobie tylko znanym sposobem do Parku Wilsona. Gdy już sobie obie „pobulbulają” w trybie tajnym i poufnym, ryba nagle odzywa się ludzkim językiem (konkretnie – po polsku): „Jak by ktoś pytał – ja nic nie mówiłam”.

I tak dalej, i tym podobne. Wartka akcja toczy się „po poznańsko-swojskiemu”, strzelając geizerami komizmu zarówno w wydaniu potoczno-ulicznym, jak i (na ogół znienacka) „podrasowanym” i wysublimowanym. Aktorska ekspresja jest też mocno „podrasowana” – w sposób oczywisty przystosowana do plenerowych, polowych warunków i takiejże publiczności.

Aż tu nagle, pod koniec, podczas przemieszczania się bohaterów z Półwiejskiej w stronę „chlebaka”, czyli „rolady”, mamy narracyjne meta-salto mortale: aktorki i aktorzy prowadzą nas „na drugą stronę teatru”, za drewnianą budę, czyli za plenerową scenkę, i oto przed nami rozgrywa się „teatr od kuchni”, z aktorami animującymi płaskie formy zwierząt i powtarzającymi scenę z ZOO. Ich głosy są nagrane, lecą z offu, któreś z nich pyta z wyraźnym scenicznym „zaskoczeniem”: „Czy ja tak dziwnie mówię?”.

Meta-moment to magiczny, ukazujący potęgę teatru lalek, uświadamiający „ulicznym” widzom istotę tego teatru oraz sztukę jego twórczyni i twórców.

A potem wracamy, jak gdyby nigdy nic, na drugą stronę jarmarcznej budy, nawiązującej wyraźnie swą zielono-brązową kolorystyką do lyońskiego teatru Guignola i śledzimy dalszy ciąg akcji z obowiązkowym happy endem.

Zadziwia w tym spektaklu różnorodność sposobów uwodzenia widza plenerowego (a więc często przypadkowego, na ogół niezbyt zaprzyjaźnionego z kulturą wysoką): jest tu, jako się rzekło, wiele scen rozśmieszających prosto, acz nie prostacko i nie „na odlew”, jest również kilka humorystycznych „smaczków” dla widzów bardziej wysublimowanych, bo przecież i tacy mogą się trafić przed scenką rozstawioną gdzieś w parku, na placu czy na ulicy. No i jest ten moment „magiczny”, gdy teatr otwiera przed widzami swe kulisy i tajemnice swych *métiers*.

Publiczność premierowa należała raczej (i trudno się temu dziwić) do tej drugiej kategorii (zaznajomionych, wydelaconych, nietypowych), więc śmiechu nie było za wiele. Było go natomiast podobno dosyć, i to z dodatkkiem, podczas czterech przedpremierowych prezentacji na terenach rekreacyjnych nad sztucznym jeziorem Rusalka, na dalekich Jeżycach. I tego się trzymajmy!

02-10-2020

Teatr Animacji w Poznaniu
Malina Prześluga
Misja Poznań
reżyseria: Marek Cyrys
scenografia: Jakub Psuja
muzyka: Marcin Wleczorkiewicz
obsada: Sylvia Koronczewska-Cyrys, Mariola Ryl-Krystianowska, Marek Cyrys, Krzysztof Dutkiewicz
premiera: 6.09. 2020

MALINA PRZESŁUGA

MAREK CYRIS

POZNAŃ

TEATR ANIMACJI

Misja Poznań, reż. Marek Cyrys, Teatr Animacji w Poznaniu.



Fot: fot. Dawid Majewski



Oglądasz zdjęcie 1 z 12

Szukaj

REGIONY

POWIĄZANE TEATRY

Teatr Animacji

PRZECZYTAJTEZ

Joanna Ostrowska

Calisia

Małgorzata Komorowska

Z Jerolimy w aleję Solidarności

Henryk Mazurkiewicz

Klub anonimowych procesoholików

Małgorzata Komorowska

Magia teatru Wolfganga Amadeusza i Ryszarda Józefa

Małgorzata Komorowska

Kolory – pozory?

Łukasz Drewniak

K/182: Zbaraż

BĄDZ NA BIEŻĄCO



Bądź na bieżąco, dołącz do naszego newslettera

Dołącz

☐ Nie jestem robotem

reCAPTCHA
Przydatność - Wzrost

Dołączając: akceptujesz naszą politykę prywatności oraz warunki korzystania z portalu zawarte w regulaminie.

Projekt „Ogólnopolski portal Teatralny.pl” jest finansowany ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach Programów MKiDN, priorytet TEATR



Przeczytaj

- Świat
- Nadesłane
- Książki
- Varia
- Felietony
- Historia teatru
- Ludzie
- Rozmowy
- Opinie
- Recenzje

Inne

- Biblioteka
- Redakcja
- Patronaty
- Współpraca
- Szkola
- Kontakt

Znajdziesz nas też tu:

-  Facebook